

Helena Kamińska

ul. Surska 6 m 27.



Nazywam się Helena Kamińska. Urodziłam się 28-go maja 1928r. w Sursku. Rodzice moi - Jan i Bronisława z Leszczyńskich - pochodzili z rodzin, których źródłem utrzymania była praca na roli. Rodzina matki należała do jednej z najubożniejszych i poważniejszych rodzin szlacheckich w parafii surskiej. Natomiast korzenie rodu Półtoraków tkwiły w najdawniejszych dziejach starego i dumnego ze swej przeszłości obronnej grodu Surska.

Dziadek mój - porucznik Tomasz Półtorak - brał udział w powstaniu styczniowym w 1863-cim roku. Zmarł jako sędziwy starzec. Był pochowany z należnymi mu honorami w asyście orkiestry wojskowej w Białymostku, o czym do dziś wspominają najstarsi mieszkańcy Surska. Ja, jako czterolatnia wówczas wnuczka, ten dzień zapamiętałam na zawsze.

Ojciec mój posiadał około dwadzieścia hektarów ziemi. W zasadzie zajmował się rolnictwem. Ale poza tym nie pozostawał obojętny na to, co działo się w kraju. Angażował się społecznie. Był współorganizatorem tworzącego się ruchu spółdzielczego. Uczestniczył jako radny miasta. Był członkiem sejmiku powiatowego w Białymostku i prezesem Stronnictwa Narodowego.

W postępowaniu swoim kierował się wartościami chrześcijańskimi. Dlaczego to tak w tej chwili osądzam? Ponieważ pamiętam fakty, które świadczą o tym. Obecnie wtedy, kiedy odbywały się tak zwane "piecionki" czyli jarmarki raz w miesiącu i młodsi chłopcy należący do stronnictwa czasami usiłowali zwalczać handel żydowski przez likwidowanie straganów, to jak przez sen, ale pamiętam zawołanie ojca: chłopcy - nie tędy droga. To nie tak. I nie pozwalał na to. A poza tym przyjaźnił się z sąsiadami, któ-

rzy obok mieszkał i byli Żydami. Ja na przykład pamiętam te-
kie fakty, że przyjeżdżałem się z taką wielką rodziną. Nawet nie je-
den raz u nich nocowałem. A więc nie może być mowy o jakichś
uprzedzeniach. Jedyną chodzącą o to, by znaleźć możliwość pod-
niesienia poziomu życia rolnika. Aby znaleźć środki jego niedo-
li. Bo przed wojną jego praca była naprawdę ciężka.

Miałam trzech braci. Najstarszy - Romuald - urodzony w 1912 r.
był ścigany przez Niemców w czasie kampanii wrześniowej i uczestniczył w ostatniej
bitwie kampanii wrześniowej pod Kockiem. Tam dostał się do nie-
woli niemieckiej i do Polski wrócił w 1946 roku. Było to kil-
ka miesięcy po naszym powrocie z Rosji.

Brat średni - Franciszek - urodzony w roku 1918-tym, walczył
na szlaku Lenino - Berlin, odznaczony czterema krzyżami.

Najmłodszy - Antoni - najmłodszy brat urodzony w roku
1922-ym - szedł pod Lenino.

Wszyscy bracia już nie żyją. Dom, w którym wychowałem, był prze-
pełniony duchem patriotyzmu i służby innym. Od najmłodszych lat
uczono mnie rzetelnej pracy, szacunku dla starszych bez wzglę-
du na ich stan posiadania. Uczono mnie miłosierdzia i wypoś-
czucia dla niedoli bliźnich. Uczono mnie tolerancji dla innych
przekonań i religii.

Mam zachowane doskonale w pamięci to, że były kolonki pra-
wosławne, były też - jak już wspominałam - Żydówki. Każda masa lu-
dzi była z nami zaprzyjaźniona. Byli i ludzie biedni, którym w
okresie Świąt Bożego Narodzenia czy Wielkiej-Nocy zadbano
przygotowane przez matkę upominki.

Matka moja - Bronisława - ze wczesnej młodości przebywała
często u swojego wujka Otkowskiego Marcina w Wilnie. Wujek ten
pełnił funkcję kustosa skarbcza w katedrze. Odebrał też jakieś

rodzaj wykształcenia dla "dobrze urodzonych" panien w Białymostku. Ale nie wiem dokładnie, jaki to rodzaj był tego kursu czy jakiejś innej formy nauki.

Fakt ten jak i kontynuowane tradycje rodzinne miały decydujący wpływ na prowadzony przez nią dom. Dom nasz bowiem wyróżniał się spośród innych w Buraku. Utrzymywane były częste i serdeczne kontakty z rodziną i przyjaciółmi z Wilna, Grodna, Warszawy, Rielegostoku i Łop. Podjętowanie częste z różnych miast gości, czasami znakomitych, na przykład major Gopiziorowski - wice-minister spraw wewnętrznych wymagało nie tylko wyjątkowych starań ze strony gospodarza, ale i przynosiło korzyści moralne i materialne.

A więc dom mój - dom wczesnego państwa - to dom spokojny, dostatni, ciekawy i bezstroski. Szczególne chwile w nim spędzone zakończyły się bezpowrotnie z dniem pierwszego września 1939.

Nieznane nam były losy najstarszego brata Konka. Tatua, natomiast - po zajęciu przez władzę radzieckie naszych terenów - zmuszony był przez dwa lata ukrywać się. Pozostała część rodziny także opuszczała dom podczas każdej wywózki. W Buraku - pod opieką matki i starszych braci - przebywałam do 1941-go roku.

Wówczas - mając lat siedem - rozpoczęłam naukę w miejscowej szkole powszechnej, w której do chwili wybuchu wojny skończyłam pięć oddziałów. Po zajęciu naszych terenów przez wojsko radzieckie uczęszczałam ponownie do klasy piątej, a następnie do szóstej szkoły niepełnej średniej typu radzieckiego. Była to tak zwana "dziesięciolatka".

22-go czerwca 1941 roku - jak wiadomo - hitlerowskie Niemcy uderzają nienacko na swojego dotychczasowego sojusznika. A dwudziestego czerwca - dwudziestego - na dwa dni przed tą wojną

1941-go roku rodzina moja zostaje deportowana w głąb Świązku Radzieckiego. Przynalę po nas ofirugiej nad ranem. Tej strasznej nocy płaczu i rozpaczny motki i naszej nie zapomnę do końca swoich dni. W tym samym dniu z Durańa zesłane zostały rodziny Sawickich, Borowakich, Olejkowickich. Załadowani do bydzących wagonów - staliśmy na bocznicy w łopach na stacji cały dzień i całą noc.

Wojna zastała nas w Wełkowysku. Byliśmy tam akurat na stacji towarowej. Aż do Orszy byliśmy bombardowani. Wielu wywożonych tym "eskalonem" zginęło. Jechaliśmy w wagonach towarowych bez pożywienia, a nawet i wody. Poteż wielu ludzi zmarło. Po przekroczeniu Dniepru było trochę lepiej. Podczas bombardowań były podejmowane próby ucieczek. Niestety, a reguły kończyły się one niepowodzeniem.

Tu chcę uzupełnić pewne szczególne okoliczności. Otóż podczas podróży bardzo często pociąg był zatrzymywany ze względu na prześladujące nas samoloty niemieckie. I wówczas żołnierze rosyjscy - NKWD-yści zatrzymywali nasz pociąg w suchym polu. Zastanawialiśmy się, dlaczego akurat w suchym polu. Sami uciekali - chowali się na czas nalotu, a nas zupełnie świadomie zostawiali na pastwę losu.

Niektóre wagony były niejednokrotnie trafione. W związku z tym jechaliśmy bardzo powoli. Były nawet i takie dni, w których pokonywaliśmy dystans pięćdziesięciu do stu kilometrów. Ale jednak konsekwentnie posuwaliśmy się do przodu. Przypominam również pewien moment na granicy. Było to w Stolpcach. Rosjanie, wojskowi rosyjscy i ich rodziny nie miały czym uciekać. Nie było transportu. W tej sytuacji zwrócono się do Moskwy, by nas wyładować a zabrać swoich ludzi - Rosjan. Niestety - odpowiedź by-

ie negatywna. Za wszelką cenę wieść.

Na wagonach, którymi nas przewożono było napisane ostrzeżenie /ostrzeżenie/, że jesteśmy "szpionami". "Szpiony" - a przecież w transporcie było wiele dzieci - niemowląt.

Pamiętam też bardzo przykry moment w Mińsku. Dojechalibyśmy na dworzec, a dworzec palił się. Waz pociąg zatrzymał się. Dymu było pełne wagony. Zaczęliśmy pisać, zaczęliśmy wywołać pomocy. Byliśmy wówczas przekonani, że w tym ogniu zginiemy. Jednak po jakimś czasie - powoli - pociąg ruszył.

Jak już wcześniej powiedziałam - jakie takie warunki - dostarczono nam przynajmniej wody - były od chwili przekroczenia Dniepru. Przekraczaliśmy go koło Orszy. Wówczas jechaliśmy już bardzo szybko i na miejsce przeznaczenia dotarliśmy po prawie pół miesięcznej podróży.

Pierwsze miasto miesiącami w takim typowo syberyjskim, rejonowym miasteczku - Jurga. Było ono odległe o sto kilometrów od linii kolejowej - za Timoniew. Było to na terenie ówskiej "oblasti" należącej do zachodniej Syberii. Obecnie Timoniew nam kojarzy się z gazem. Właśnie stąd go otrzymujemy.

Luźność miejscowa przyjęła nas życzliwie. Większa jej część również była przesiedlona przed nami. Inni sądzili natomiast, że my jesteśmy ewakuowani przez władze z powodu wojny. Mimo to warunki życia były bardzo ciężkie. Od początku obowiązywał "pajok", czyli że otrzymywaliśmy, te dwieście gramów chleba dziennie na tak zwanego wyżywienia. Tak nazywano osobę niepracującą i tym samym będącą na utrzymaniu. Natomiast dorobki mieli przydział charakteru gramów chleba. Tam chleb wrzuktowo saskował. Po prostu jednym haustem się wjadło. A co do ~~tego~~ ?

Mimo pracy nie było innego źródła utrzymania. Dodatkowe do-

chody mogło nam zapewnić sprzedawanie przywiezionych przez nas rzeczy.

Rozpoczęłam pracę w kółchozie przy śniadach. Było to żywo. Wziłam pierpem, chociaż nigdy tego w domu nie czyniłam. Następnie pracowałam w "prokombinacie". Tu pracował senaryj i konopi. Bracia - Franciszek i Antoni - pracowali również w tej instytucji. Starszy brat pracował jako cieśla, a młodszy jako murarz; w ogóle trzeba zaznaczyć, że Polacy tam bez żadnych kwalifikacji byli mistrzami w wybranych pracach siebie zawodach. Wistusa mi niedoścignionymi.

Głównie praca braci oraz wymiana rzeczy przywiezionych z Polski na żywność była podstawowym źródłem utrzymania naszej rodziny. Bracie wyrabiali po trzyseta do pięciuset procent norwy. I w ogóle mieli ogromny mir. Pracowało tam też kilka innych rodzin. Pracowali też i Rosjanie. Ich praca - ich postawa była powodem zwierzeń ze strony Rosjan. I to spowodowało niestety, w późniejszym okresie niebezpieczeństwo. Szczególnie starszy braciśzek czasem sobie podkpiwał z tamtejszych wozów czy koni, które tam pracowały. Trudno było, że taki wóz przersunął jedną ręką kilka metrów dalej. A takie konie jak tu - to u nas baba zwykłą wiotką mogłaby zabić.

To oczywiście miejscowym władcom, a zwłaszcza dyrektorowi nie podobało i przy - jak później opowiem - pewnej okazji - zamściło się na bracie.

W osadzie Jurys i jej okolicy - w tajdze, w kółchozach - przebywało około stu pięćdziesięciu Polaków. Od początku naszego tam pobytu mieliśmy nadzieję szybkiego powrotu do kraju. Liczyliśmy na rychłe zakończenie wojny. Co ciekawe - liczyli też na to i miejscowi ludzie. Między innymi przypominam sobie

zapytanie jednego z miejscowych; był to kołchoźnik pracujący z nami braćmi: Franc - a Niemiec skoro przyjdzie? Oni na nich czekali.

Zwłaszcza z radością przyjęliśmy wiadomość o amnestionowaniu nas. Było to na podstawie zawartej nieco wcześniej umowy Sikorski - Majaki. Tylko raz - 15-go sierpnia wszyscy do rośli musieli się zgłosić w rejonowym zarządzie NKD. Następnie otrzymaliśmy zaświadczenia, że są obywatelami polskimi, a w związku z tym mają prawo zamieszkiwać w dowolnym terenie Związku Radzieckiego za wyjątkiem strefy przyfrantowej oraz miejsc kategorii "1".

Korzystając z tych możliwości - czternastego lutego 1948-go roku wyruszyliśmy do województwa sarańskowego. Wśród nas było wielu starszych ludzi, którzy dobrze pamiętali okres pierwszej wojny światowej. Ci ludzie wiedzieli, że w tych odległych terenach, brygadach, może nie dotrzeć o czasie wiadomość o możliwości wyjazdu czy też o zakończeniu wojny. I dlatego zdecydowaliśmy się pojechać na miejsca nieobecności Niemców. W wyborze nowego miejsca zamieszkania pomogli właśnie nam ludwołujący Niemcy, których w ślad za nami zesłano na Syberię, zaraz po nas.

Na nowe miejsce pobytu wyruszyliśmy niestety bez najstarszego brata - Franka, o którym już wspominałam. Jego władanie, za samowolną zmianę miejsca pracy skazano - właśnie w wigilię Bożego Narodzenia - na cztery miesiące "prinyt-raboty". Karę miał odbywać w Tiumeniu.

Wybór województwa sarańskowego jako miejsca dalszego pobytu w Rosji był przez nas dokonany świadomie. Wybraliśmy centrum europejskiej części Związku Radzieckiego dlatego, że stąd

po wojnie nawet pisano moŜy by było wrócić do ojczyzny. Po otrzymaniu dwóch wagonów towarowych - tak zwanych "ciepluchek" dla stowarzyszonej grupy Polaków - pomogli placówce dyplomatyczne. Miał one swoje siedziby w Kujbyszewie i Czeliabińsku. PodróŜy z Timonia do Saratowa trwała - szereg przesiadywanych godzin - na kilka tygodni. Była to samotna, straszna i cięŜka podróż. Nie byliśmy przygotowani do tak długiej podróŜy. Nie mieliśmy tyle żywności. Nie był to pociąg osobowy, a te nasze dwa wagony były dopasowane do różnych wagonów /pociągów?/ towarowych. I czasami w szerszym polu były zatrzymywane. Albo innym razem postój wypadł gdzieś kilka kilometrów od jakiejś stacji, na której moŜna było dostać cokolwiek, jakieś przysmak. Czasem moŜna było dostać jakiegoś zupa, w której pływał jakiś ogórek, to znówu jakaś kasza.

Jednym słowem - miało być wyrozumiałości, a wówczas nawet i pewnej wyrozumiałości ze strony władz radzieckich - był to wówczas przecież okres współpracy z polskimi wojskami na froncie - podczas podróŜy dochodziło do takich sytuacji. Jest to bardzo delikatne określenie. Zaczęliśmy głodu.

Opowiadały też - jak i wszyscy inni wódcy ewakuowanych ludzi radzieckich - epidemia choroby, tyfus braunowego. Ludzie ginęli od chorób zakaźnych, od zimy, od głodu. Ludzie ginęli masowo. W drodze z obojczy obok Saratowa wyczerli wszyscy ludzie starsi i dzieci. Pamiętam jak było - wciągano na śnieg zmarłych. Nikt nie miał czasu na ich pogrzeb. Tych ludzi po prostu pozostawiano.

Związek Radziecki właśnie wówczas prowadził najcięższe dni w tej wojnie. DuŜa część obszarów europejskich została zajęta przez Niemców niemal błyskawicznie przed samym sprze-

mierzenia. Trwała blokada Leningradu, a Niemcy stanęli u bram Moskwy. Szły "essalon" za "essalonem" czyli. Wieszono ludzi głodnych i rozszpanowanych. W ich oczach z łatwością można było wychwytać śmierć i przerażenie. Cała ta fala uchodziła na wschód. Na poboczach /Brakach/ leżały śmiertelnie zmarli. Bo jeżeli wydostali się głodni i na drogę nie mieli żadnego pożywienia, nie byli odpowiednio ubrani - to z tego głodu i mrozu po prostu umierali. Umierali masowo.

Po raz trzeci odczuwałem grozę wojny. Jednak na pierwszy dzień Wielkiej Nocy dotarliśmy wreszcie do Saratowa. Wychodzimy z wagonów smarkanych a ^a żywych szukamy ratunku. Ziemia Obiecana, do której z takim uporem i z takim trudem głodni, chorzy, zdehidratowani podążaliśmy na wiosnę w 1942-gim roku okazała się być terenem przyfrontowym. A tym samym dla nas strefą zakazaną. Mielibyśmy bowiem jako obywatele polscy - przebywać wszędzie, tylko nie wolno nam było osiedlać się na terenie miast kategorii "A" oraz w strefie przyfrontowej.

Zamięta ten przeraźliwy płacz stał w wagonach, kiedy to zdaliśmy sobie z tego sprawę. Na wagonach - na rowkach miejscowych władza była wypisana "putiowka": Arys - Taszkient - Alaa - Ata. Dalsza podróż w tych warunkach była dla nas wyrokem śmierci. I dlatego broniliśmy się przed tym - jak tylko mogliśmy. I udało się.

Wielokrotnie swój młodszego braciśzek Antoś z panem Kruczawskim byli w miejscowym NKWD. Chyba przez dwa dni nawet tam nocowali. Zatrzymano ich tam pod zarzutem, że są "szpiegami". Podejrzanie na nich padło dlatego, że niezbyt poprawnie mówili po rosyjsku oraz - co chyba najważniejsze - znaleźli się na terenie zakazanym. Jednak po tym trzydniowym postoju w Saratowie w wyni-

ku prowadzonych przez naszych przedstawicieli rozmów - popartych solidną zapówką - pamiętam konkretnie, że to był ładny kilometr - wojewódzki komisarz NKWD wyraził zgodę na osiedlenie się w tym województwie - w pobliskim rejonie - dwięście kilometrów od Baranowa.

Moja trzyosobowa rodzina - mama, ja i młodszy braciarek - i samotna pani Felkowska z Krasnego - zamieszkaliśmy w mieście Naifran. Tu okazało się, że jesteśmy bardzo potrzebni, gdyż w wyniku wysiedlenia wspomnianych przez mnie wcześniej kolonistów niemieckich, sytuacja w kolchozie była wprost katastrofalna. Zboże i inne plony zimowały na pniu. Brakowało ludzi. Oprócz nas było tylko kilkanaście rodzin ukraińskich pochodzących z okolic leżących w pobliżu polskiej granicy. Wszyscy bowiem byli na froncie.

Po kilkudniowym wypoczynku i odkaraniem nas przygotowaliśmy do pracy. Praca była różna. Często od najbardziej prymitywnej, a mianowicie: dowożenie furanką dzieci ze żłobka do matek na pola. Chodziło o nakarmienie tych dzieci. Zwoziłam snopy, paliłam ściernisko, ubiegłoroczne zboże leżące w tak zwanych "krestach". Kresty tworzą w ten sposób, że jeden snop był kładziony na drugi, a potem na krzyż był kładziony następny. U nas kładzie się kłosem do góry a tam kłosem do ziemi i następnie kładzie na nowo na te kłose. Nie mogę sobie wyobrazić, co się z tym działo w tym klimacie, gdzie są ogromne śniegi - w klimacie kontynentalnym - to zboże po ziemi było krośnięte. Te snopy były bardzo ciężkie, bo jest to przecież Ukraina. Tam był piękny, prochylny czarnoziem na północ.

Bardzo ciężka to była praca. Ale właśnie to zboże leżące na pniu i inne plony spowodowały plagę ogromnych myszy, z którymi

mieliśmy ogromne kłopoty. Te właśnie sprawy spowodowały epidemie tyfusu nie plamistego a właśnie naszego. Przypuszczam, że był to efekt roboty niadców. Bo od tych sprawy nie mogliśmy się wprost opędzić. Bywało i tak, że po trzydziestu dniach zabijaliśmy w ciągu jednej nocy. A ich nadeł było wszędzie pełno.

Pracowałam też przy nawożeniu kołami ziarna od kombajni. Kiedy już nabrano dostatecznej wprawy - czynnikiem to przy pomocy dwóch par wołów. Z kolei po krótkim przeszkoleniu - pracowałam jako pomocnik przy kombajnie. Pracowałam też na traktorze.

Pracę w kółchozie traktowałam bardzo poważnie. Włączyliśmy się całym sercem do realizacji hasła "wszystko dla frontu". Pracowałam od świtu do nocy, a nawet często i dzień i noc. Pracowałam przy kosiącym - bez przerwy z myślą o tych, którzy walczą na froncie.

W suratawskiej oblasti nie studiowaliśmy. "mieliśmy satysfakcję z wykonywanej pracy. Ceniono nas. Współzycie z Ukraińcami układało się nieźle - nawet po wycofaniu wojsk polskich pozostałych pod dowództwem generała Andersa na Bliski wschód. Owszem, pamiętam taki moment, kiedy to kierownik tego zwanego "MTR-u" - kierownik "Maszynowej - Traktorowej Stacji" - wyciągnął dłoń i pokazywał: "nieleczka - nigdy w naszej Polsce nie budiet. Nu ot - widisz - na doloni wołowy wyrastut? Nie wyrastut. Tak i nasza Polska wasztaniet.

Ale ogólnie biorąc - inni byli raczej zapracowani. Przypominam sobie również takiego Żyaka, który też był wprowadzany ewakuowany, ale prowadził te kie pogadanki w czasie przerwy obiadowej. Bo tam dostawaliśmy supę bezpośrednio z kotła. On był od tych pogadań w czasie przerwy. O - tam nawet artykuły przyjeź-

dziali. Przyjeżdżali do nas, na pole. I on akurat przeczytał wiadomość o tym, że nasze wojska opuściły teren Wzwiązku Radzieckiego. I on do tego dodał taki komentarz: Polacy nigdy nie byli naszymi przyjaciółmi i wy też nie będziecie. I wy ich bierzcie. A my - dwie czy trzy Polki - siedziały z opuszczonymi rękami i nie wiemy, co ze sobą mamy zrobić. Ale taka zwyczajna kobieta, która z nami pracowała, podszedła do mnie i powiedziała: nie żal - Jelecka. On durak. Albo to on wie, co mówi.

Przypomniałam też sobie serdeczne kontakty mojej mamy z inną Ukrainką. Życzliwy też był dla nas sam przedsiębiorca sielisko wołowski. Jego to moja mama - która nigdy nie była krawcową - szyla nawet garnitur. On był do nas bardzo przyjaźnie ustosunkowany ~~do nas~~. Najlepszym tego praktycznym dowodem było to, że gdy nagle, zupełnie nieoczekiwanie trzeba było w październiku straszący wybuchnąć, to w krótkim czasie dostaliśmy aż trzy podkopy. A było to zimowe porę. To prawda, że nie cofnął się ^o - bo u nich przymrozki przymrozki - i za dwadzieścia laty podkopy - mimo że byliśmy chorzy na tyfus - umieliśmy jednak się wbić w tę podróż. A mroź był wówczas trzaskający - 50 stopni przed nami była pięćdziesiąt kilometrów podróż. Było nam bardzo ciężko.

Zbliżała się jednak jesień 1942-go roku. Ówczesne to nasytę-
dły dni oblężenia Stalingradu. Ponownie usłyszałyśmy ten rżące
wieszczący warkot hitlerowskich samolotów. A ponieważ wieść, w której
nieśkądś, znajdowała się w pobliżu granicy stalingradzkiej
oblasti - wszystkie rodziny polskie jako element niepewny -
zostały przesiedlone do Kazachstanu. Nie zaszkodziły ale
też i nie pomogły i szacunek i uznanie dla naszej pracy ani też
nawiązane przyjaźnie, o których już mówiłam. I w ten pięćdziesiąt-

cicstopniowy mróz i epidemia tyfusu nyskiego. Po dwudziestu czterech godzinach od ogłoszenia decyzji przez miejscowe władze - dwudziestego grudnia 1942-go roku, na krótko przed Bożym Narodzeniem - wyruszyliśmy w podróż. Moją nastoyako było oboro do tego stopnia, że braciażak musiał podpierać ją woliczkami, bo nie mogła utrzymać się.

Jechaliśmy wolicami, przede jechaliśmy kilonastów w strawniki wy mrós. Każde u nas siedzieli, a beśt biegali od wozu do wozu i otulali nas, żebyśmy nie dochorali. Tym razem jechaliśmy na polonie. Nijeliśmy Góry Ural, pustynię Kizyl - Kul i Kuba - kum, Górze Aralskie, Taszkient i Alma - Aty i pięknoboro atcanie - dobrze to pamiętam - 1943-cim roku - na Nowy Rok przewożonym, bo jednak nie o tego, że Boga miał, to tam wszystkie trójceje wśród luby prętego były - przybyliśmy na miejsce przeznaczenia. Zamieszkałymi w wsi Malinowka. Wiesz była pięknie położona u stóp Gór Tienśańskich. Byliemy na północ od tolicy północnego Kazachstanu - Alma - Aty, co po polsku oznacza "ojciec Jabłok."

Na skutek częstych i nagłych zmian klimatu, niedokrwienie i wyszerpania, chorób przebytych oraz nieprzeostrzeżenia podczas miesięcznej podróży wolicami - bo zersa mieliśmy wazy - wystarczy jedna rodzina zaważna, a już natychmiast wszyscy drapią się i biją wazy - chorujemy nasowa na tyfus płamisty. Po przejęciu tyfusu zachorowałam na obustronne zapalenie płuc i szkarlatynę. Mimo braku najprostszych leków - przeżyłam. Natomiast mamasie, ponieważ miała chore serce, zmarła.

Straszna to rzeda. Było nas tam kilka rodzin w tej miejscowości Malinowka. Smaciszak przez cały tydzień - bo mama jeszcze ubieckiej nieświeleli śpiewała z innymi Polakami, którzy wówczas

do nas przychodzili - ja wówczas jeszcze byłam chora - a w następnej niedzieli trzeba było chować.

Przez tydzień czasu brat prosił o jakiegokolwiek podwoźcę, żeby móc odwieźć mamę do szpitala, odległego o pięćdziesiąt kilometrów w Kirowsku. Dostał podwoźcę dokładnie w tym dniu, w którym mama zmarła.

Pogrzeb właściwie zbieg okoliczności: kiedy byliśmy w burżu, mama upadła o założeniu grobu rodzinnego, o ogrodzeniu. A tam - tylko powiadam - zszczęście w tym, że bracia zabraли ze sobą z wagonu dwie grube deski. Z tych właśnie desek pan Piekutowski domowym sposobem jakoś je rozpiłował, wyheblował i zbił kawałek trumny, na której czymś czarnym, jak pamiętam, namalowano krzyż. I w szczęście chyba gdzieś dziesięciu osób, bo kiedy się dowiedzieli Polacy o śmierci mamusi, to z okolicznych wsi dotarli, ponieważ pamiętali dobre serce matki, która podczas podróży każdemu coś starała się użyczyć, bo mieliśmy więcej. Zabrałiśmy więcej żywności niż inni z uwagi na to, że bracia się starali a mamusia miała doświadczenie. Te doświadczenia pochodziły jeszcze z czasów pierwszej wojny światowej. Na drogę zabrała dużo sucharów, chleba żółtego, kaszy. I tak chyłkiem czasami, przed bratem, w ukryciu, w fartuszkach wносиła do innych wagonów. Litowała się nad głodnymi dziećmi.

Mama została pochowana na wzgórzu wyniesionym nad wieś. Za wzgórzem była następna wieś kozachska. W tym czasie zmarło jeszcze dwie dzieci. Był to chłopiec i dziewczynka. Nie pamiętam nazwiska tych dzieci. Ale pamiętam, że się ucieszyłam z tego nieszczęścia, że nie sama leży, że ma aniołków obok siebie.

To był cmentarz, na którym chowano wszystkich. Były tam i czerwone gwiazdy, były też i krzyże prawosławne. Nie było tam niczego

go szczególnego - miejsce nie było nawet ogrodzone. Jedną nie było otoczone takim rowem. Oświadczalam później jeszcze dwukrotnie to miejsce po naszym stamtąd wyjeździe. Nie wystawiliśmy tam jednak krzyża, ponieważ tam nie było w ogóle drzewa. W tych górach rosły jedynie krzewy. Opalaliśmy tam tak zwany "kizian" czyli nawozem.

Bardzo przeżyłam śmierć matki. Został tylko młodszy brat Antoś i pani Falkowska. I tu trzeba powiedzieć, że gdyby nie to, że ta pani powywieksza musiała opiekować się mną, to bym ze smutku, ze strywnoty i z głodu na pewno nie przetrwała tych bardzo ciężkich chwil.

Starszy mój brat - Franio - który pozostał na Syberii, dowiedziawszy się o śmierci matki, napisał mi list do koleżanki rosyjskiej i ona mu podała adres, i takim cudem on znalazł się o tym - zgłosił się prosto do Pierwanaj Dywizji Pielichy. Już do nas nie przyjechał. Nie miał potrzeby. On sam wcale się do wojaka. Kiedy była matka, zgłosił się najpierw do Armii generała Andreea. Ale matczyńsko uprosiła go, że nie zostawiaj mnie z tymi dziećmi. Widział przecież, że jestem chora. I wówczas rozpakował walizkę.

Tarax, kiedy już nie było przeszkód, to zgłosił się do wojaka. W miesiąc później i Antoś został powołany do wojaka, zorganizowanego oczywiście przez Związek Patriotów Polskich.

Po odejściu braci nadal zamieszkiwaliśmy we wsi Włiniówka. Utrzymywaliśmy się z pracy w kolchozie imienia Michalina. Trudno powiedzieć, że utrzymujemy się z pracy, bo w kolchozie nic nie dostawaliśmy, komunistycznie nic. Jedyną rzecz, którą dostawaliśmy po licznej rodzinie i umiejętność radzenia sobie ze strony pani Falkowskiej, która czasami caterpaciła kilonastkę, była że

do chińskiej granicy piaszo, żeby powrócić i czegoś sprzedać na jakiś łach. I dzięki temu udało mi się przetrwać. Bo gdybym i nawet została z tymi rzeczami, a pani Falkowskiej by nie było, to prawdopodobnie bym z tego powodu ~~by~~ zginęła. Bo na delatcie zupełnie wysyłano krasnoodziejców, rannych ze szpitali. I taka fama poszła po naszej wsi - że koźaki przyjechali. No bo jeśli byliśmy w kufren i mieliśmy trochę tobołów, to znaczy, że według tamtejszej wiary byliśmy bardzo bogaci.

Przygodziną sobie moment taki, że przyszli nocą zabierać nam te rzeczy. Te rzeczy były w takim "zakramie". Tam domy były gliniane. I wystarczyło, żeby zrujnować jakiś glaz i już można było do tego zakramu wejść śpicarza, żeby go tak po polsku określić można było się dostać. Ale chłopak tej rodziny, w której mieszkaliśmy, był gołębiarzem. I złapał kilka gołębi i wsadził je do jakiejś beczki. I kiedy oni po omacku otworzyli tę beczkę, to gołębie wyleciały i narobiły szumu i złodzieje uciekli. Starszy gospodarz usłyszał to, zaczął rozmawiać i takim cudem udało się ocalić.

Bywały i takie wypadki, że z powodu głodu, bo nie mieli żadnych środków utrzymania, i rabując - po prostu zabijali, zabijali ludzi. Tak że wracając do pani Falkowskiej, chociaż ta pani już nie żyje, mam dla niej same ciepłe uczucie ~~dla niej~~. Zawzięciem jej życie.

Dlatego, jak zaznaczyłam, nie mieliśmy żadnego pożytku z pracy w kolchozie. Bo opowiadano taką zasadę, że wszystko, co zebraliśmy w kolchozie szło na front. A przecież nie wszystkie ziemie kolchozowe były zagospodarowane. Bo i traktory lepsze poszły na potrzeby wojny i ludzi nie było. Zostały tylko same kobiety i dzieci. Głodowali. Największym naszym pragnieniem w tym

czasie było chociaż raz to syta najjeść się chleba. Chleba tam nie widzieliśmy. Zbieraliśmy lebiodę. Już w czasie lata było tam dużo jabłek. Pamiętam, że kiedyś przez ciekawość obliczyłam, że w ciągu jednego dnia zjadłam sto dwadzieścia niedojrzałych jabłek. A jesienią to te jabłka się wzięły, a następnie było się je w stepie, jeżeli się udało.

Co było dla nas ratunkiem? Ratunkiem dla nas był ośród, który dostaliśmy. Przydzielano wówczas po 0,25 ha na rodzinę. Przydzielono na rodzinę Pótkoraków, na rodzinę Falkowskich. Był jeszcze taki młody pan, który w nami się przyjaźnił. A kiedy odszedł do wojska, to też nam swoją działkę zostawił.

Cały ten areał skopaliśmy pod kopatę. A później dostaliśmy troszeczkę ziemiaków. A skąd ziemniaki? A to przypominam, że kiedy chorowałam, to najładniejszą, najpiękniejszą kołdrę, jaka była w naszym posiadaniu pani Falkowska wpuściła. Dostaliśmy za nią trzydzieści litrów mleka. Bo tam byli i tacy, którzy mieli i mleko i pszenicę mieli. Byli to oczywiście nie miejscowi kołchoźnicy, tylko prowincenci, jak byśmy to teraz określili. Na przykład tę kołdrę kupił żona przedsiębiorcy od nas. I chyba wiadro czy dwa ziemniaków dostaliśmy oraz wiadro pszenicy. Był to ogromny podatek, kiedy to zapłaciliśmy i w stepie usiedliśmy, to już można było jakieś pochłonek, ugostować. Jakaś część już sobie pozwolić na kartofle. Ale tak naprawdę się dwa kartofle. Ale wahać: nie, są duże. Jeden kartofel do zupy. I go tam nie zjedliśmy, że zjadło się trzy talerze było się wzdrem. Ale coś było ciepło.

A tego pół litra mleka, który nam szalenie otrzygliśmy, to zjedliśmy się śmietaną. Tak uzyskana śmietana była do zupy a poza to mleko była do klusek. A luski tutaj się nie zagniatano, ale był

się tak palcem machało w naczyniu, żeby było gęściej. Machało się ręką po prostu.

Ciężkie to były lata. Ta uwaga odnosi nie tylko do samego frontu, ale i do dalekiego zaplecza. Bardzo często po kilogram cukru i kilka kilogramów kaszy przemianej czy też kilka kilogramów ziemniaków należało dać się aż pod chińską granicę. Czasami drżałam, gdy ta pani Falkowska, nie przychodziła. Oczekując jej wychodziłam wiele razy na drogę i myślałam, że może ją sabili, że może gdzieś zginęła. A gdy szczęśliwie wracała, to była z radości całowała jak osobę od najbliższą. No, ale pani Falkowska w moim przypadku była jedynym ratunkiem.

Już mówiłam, że dzięki jej przetrwałam i że jej uratowała życie. W listopadzie w 1945-ym roku otrzymałam wiadomość o śmierci młodszego brata - Antosia, który zginął w pierwszej bitwie pod Lenino. W tym bólu i żalu po utracie ostatnich bliskich mi ludzi na świecie, nękane chorobami, niedostatkami i tęsknotą, za krajem - przeżyłam półtora roku. Bo od średniego brata Franka, który spotkał się z Antosiem przed bitwą pod Lenino, również później nie było liści. Natomiast od najmłodszego brata - Romka - przeżywałem - nieważnieli niemieckiej było o brak jakiegokolwiek wiadomości od jesieni 1940-go roku.

O losach ojca też nic nie wiedziałam. Niejednokrotnie myślałam, że nie mam komu i po co żyć. I jeśli jakaś przykrość mnie spotkała oprócz tego głodu - to niejednokrotnie myślałam o samobójstwie. Zastanawiałam się, czy by nie rzucić się do potoku górskiego, bo tam akurat były takie wartkie rzeki górskie. Było mi bardzo ciężko.

Jednak czas goi rany. Z końcem lata 1944-go postanowiliśmy z opiekunką / panią Falkowską / przenieść się do rejonowego miasteczka Kirowa.

Kirowak był ówrodkiem przemysłowca a uwagi na położoną nie-
daleko kopalnię rudy miedzi i cukrownię, którą - nawiasem mó-
wiąc - budował mój młodszymi brat. W samym miasteczku i jego o-
kolicy zamieszkiwało około dwóch tysięcy pięćdziesiąt byłych oby-
wateli polskich. Powstała tu organizacja Związku Patriotów Pol-
skich. Bez namysłu zaangażowałem się do pracy społecznej w ZHP.
A zamieszkałszy z rodziną Perkowski. Wcześniej tę rodzinę
odwiedziła pani Falkowska i oni zgodzili się na przyjęcie nas
do takiej chatki jednoizbowej.

Państwo Perkowscy pochodzili spod Kap - nie mogli w tej chwili
przypomnieć sobie tej miejscowości ... Grochy. Jest to miej-
scowość położona obok Poświętnego. Z tą rodziną dotychczas u-
trzymuję kontakty, to znaczy z panią obecnie o nazwisku Kulesza
z jedną z sióstr, która przeszła całą drogę w armię Berlińska i
w Gienia, młodszą, która w tej chwili mieszka w Ławarkach. Ta ro-
dzina doznała jeszcze więcej gwałtu i nieszczęść, ponieważ zos-
tały wywiezione same dziewczęta z matką. Chłopcy udożali uciec.
Uciekli podczas wywózki. Najstarsza z nich była nieco spowol-
niona. Nie można o niej powiedzieć, że była nienormalna. Była jed-
nak pozbawiona energii. Była to Czesia, która tam zmarła. Nato-
miast Jasia była ode mnie młodszą, a więc było dzieckiem. Gienia
była o rok młodszą. Jasia była z rocznika 1925-go, a najstarsza
Stefcia w zasadzie utrzymywała całą rodzinę, ponieważ była kraw-
cową, to jakoś to się jej udało. Ale pamiętam, że naprawdę przy-
miarli młodemu.

W tej chwili z tej rodziny żyje jedynie Gienia i Jasia.
A jeżeli chodzi o miejscowość Łurza - przypuszczam, że o tym za-
pomniłam powiedzieć - to mieszkaliśmy tam z rodziną Kruscow-
skich. Utrzymuję również kontakty z nimi, a szczególnie z pan-

dział, z którą wówczas bawiłam się lalkami. Ona chyba była za dwa lata młodszą ode mnie. Utrajmuje też kontakty z rówieśnikami w Łodzi.

Wracam do sprawy pobytu w tej miejscowości ostatniej, skąd wróciłam potem do Polski. Najpierw działałam w sekcji kulturalno - oświatowej. Bo tu muszę wspomnieć, że po śmierci matki i brata, wtedy, kiedy inne dziewczęta - piętnasto lub szesnastoletnie mimo biedy - jednak, włóczęły na swoje prawa - chodziły do tak zwane "gulańce", śpiewały i bawowały z rówieśnikami, to ja przeżywając to niespokojenie, to osamotnienie - czytałam dużo. Czytałam po rosyjsku. Chyba że jakie książki były po polsku. I to chyba spowodowało, że spośród innych wyróżniałam się. Właśnie po rosyjsku rozumiejąc - przeczytałam właściwie całą literaturę klasyczną rosyjską. Czytałam Lermontowa, Puszkina i innych pisarzy, nawet współczesnych. I dlatego kiedy po tej działalności kulturalno - oświatowej, w ramach której organizowaliśmy składowe, odgrywanie, naukę pieśni patriotycznych, a potem - mimo braku średniego wykształcenia - powierzono mi pracę nauczyciela, /kurator organizowała się jednoklasowa polska szkoła, do której poszłam pracować.

W tym charakterze przepracowałam od piętnastego września 1944 roku do 30-go maja 1945-go roku. Trzeba powiedzieć, że ta praca dała mi dużo zadowolenia i satysfakcji. Pracowałam w szczególnych warunkach. Nie było programu. Nie było żadnych wytycznych. Nie posiadałam odpowiednich kwalifikacji ani przygotowania. Ale była ogromna chęć do pracy. Właśnie ta chęć oraz zachowanie umiejętności poprawnego posługiwania się językiem polskim pomogły. Zresztą kiedy wróciłam do Związku Radzieckiego do Polski, nie poznałam, że tam byłam. Jakoś pobyt tam nie wpłynął

w znaczącym stopniu na czystość mojego języka. Natomiast składnia była niepoprawna. Zachowane w pamięci wiersze, pieśni polskie w pierwszym okresie pracy w zupełności mi wystarczyły. Nie chciałem pomóc zwłaszcza tym dzieciom polskim, które zwłaszcza źle znały język ojczysty. Były to na przykład te dzieci, które zostały wywiezione w wieku czterech lat i przez następne lata obcowaly z dziećmi rosyjskimi. A nawet i rówieśnicy, jeżeli byli w jakimś kolchozie i tylko posługiwali się rosyjskim - zapomnieli języka polskiego albo go strasznie kaleczyli. To było nieuniknione.

Przygodziną pokraczane sytuacje. W podróży na przykład taki pan Piekutowski, mając małe dziecko dopominał się, żeby mu tam ktoś dał mleka dziecku. Opuszczając butelkę / na senurku nazewnątrz wagonu / prosił: towarzysze, towarzysze, mleka dla rebiotka. Albo inne zdanie: towarzyszy nacalnik - pojez posedzi. Nie było to poprawnie ani po rosyjsku ani po polsku.

Takim żargonem posługiwali się wiele dzieci. A przecież mieliśmy na uwadze powrót do ojczyzny. Z tego powodu za bardzo słyszane uważałem to, że ten Związek / Patriotów Polskich / organizował cokolwiek. Prawdopodobnie zamierzano gdzieś nas wysłać i kształcić. Na szczęście nastąpił powrót.

Z dniem pierwszego czerwca 1945-go roku w związku z reorganizacją rejonowego zarządu Związku Patriotów Polskich w tym miasteczku wybrano mnie nawet na ogólnym zebraniu tej polonii na stanowisko sekretarza technicznego tej organizacji. Pamiętam że nawet taki egzamin mi zorganizowano. Chodziło o sprawdzenie, czy piszę poprawnie i czy nie robię błędów. Stwierdzono, że nadaję się do tej funkcji. Było to jedyne stanowisko etatowe. Bo wszyscy pozostali pracownicy / pracowali normalnie gdzie indziej

i do tej pracy jako dodatkowej przychodzili dopiero po godzinie trzeciej. Przypomniałam sobie, że przewodniczącą była pani Krawczyńska - żona przedwojennego majora. Sekretarzem była pani Zylberman. Była to Żydówka z łodzi, ale wspaniała, wspaniała. Dlaczego mówię "ale"? W ogóle trzeba powiedzieć szczerze, że między nami nie było żadnej różnicy: nikt nikogo nie wyróżniał. Wszyscy byliśmy Polakami i wszyscy tęskniliśmy do ojczyzny. I wszyscy równo siebie szanowaliśmy. Było tak pomimo tego, że wielu z nas pochodziło z takich rodzin, gdzie te sprawy miały się różnić. Ale tego nie było widać.

Do pracyabrałam się z prawdziwie młodzieńcym zapałem. Powierzono mi jednocześnie kierownictwo organizacji młodych patriotów. Zaczynałam pracę o godzinie siódmej rano, a kończyłam czasem o dwudziestej trzeciej. Niejednokrotnie i później. A była tak dlatego, że Polacy przychodzili tu po pracy. W czasie pracy z poliskich rejonów też mogli przyjechać. Zawsze wychodziłam na tak zwany bazar, żeby porozmawiać, doświadczyć. Postanowiliśmy w tym czasie wyżyć. Jeśli sobie dobrze przypominam, tytuł był "Wolna Polka".

W oparciu o tę pracę informowałam, że oboje takie są wiadomości, że nasza sprawa tak właśnie stoją, że wkrótce wrócimy. Jednym słowem wspieraaliśmy się wzajemnie... w pracy przypominaliśmy sobie znane nam piosenki, organizowaliśmy właśnie wspomniane już akademie i tak dalej.

Związek Patriotów Polskich zajmował się całokształtem zagadnień dotyczących życia i powrotu Polaków do kraju. Pomagaliśmy rodzinom żołnierskiej, rodzinom wielodzietnym i samotnym. Udzielaliśmy pomocy osobom najbardziej potrzebującym. Prowadziliśmy szkołę polską. Urządzaliśmy także serdeczną kancelaryjną

w ludność polską wyjeżdżono przez całą wadziectki z terenów
przejętych. Dobyły to jednak dokonanych w roku 1955-56.
Pamiętam dobrze taki moment. Tanci - mówią to o Polakach depor-
towanych właśnie w roku 1955-56 - przysięgali że nam growią,
żebyśmy im służyli w tej wsi. Była to cała wieś polska.
Chodziliśy od izby do izby i tam każda rodzina starała się
uzasadnić, jak bardzo jest przywiązana do tej polskości. Ten je-
dyt był "siemkiśkiśki". Ten polski był oparty na modlitew-
nikach. Ale byli to Polacy blisko cenniejsi niż nicjedni a ro-
ku 1955-56.

Przypominam sobie słowa takiego już starszego pana, który
powiedział: jeździ pojedziecie, a nie będziecie błagali matki
rząd o to, żeby nas zabrak - to będą się rzucać się pod koła.
Bo okazało się, że jeździ chodzi o tych Polaków, to mieli prawo
wyjazdu do Polski tylko ci, których najbliżsi byli w wojsku
polskim. Chodzi oczywiście o wojsko dowodzone przez generała Ber-
linga.

I przypominam sobie taką rodzinę - państwo Zarzyckich, w któ-
rej była córka i syn. Z tego powodu, że córka wyszła za mąż za
Polaka, który był w wojsku, ona miała prawo do powrotu oraz jej
matka i jej ojciec. Natomiast jej brat rodzony, który pracował
i był już dorosły - takiego prawa nie miał. Nie mniej jednak -
już teraz nie pamiętam jakim cudem - korzystając z pewnych, wy-
jątkowych okoliczności - udało mu się zaistnieć w MKW i jego
wyjazd. Niejednokrotnie nosił się z zamiarem, żeby może w tele-
wizji - chociaż już teraz wcale nie przypominam dawnej Holi Pół-
torakówniej - zapalować - bo był kiedyś taki program - odzwij-
cie się Zarzyccy, co się z wami dzieje i jak żyjecie. Bo oni kos-
tali oczywiście na ziemiach odzyskanych. Nie wrócili oczywiście

do miejsc, w których kiedyś mieszkali.

Siłę i zaparł oraz natężenie brałam od starszych. Było tam wielu wspaniałych ludzi: mądrych i oddanych bez reszty sprawie rodaków. Najbardziej liczącym się osiągnięciem w pracy w ZPT był mój udział w repatriacji Polaków do kraju.

Do Polski wróciłam w czerwcu 1945-go roku. Na szczęście oczekiwał na mnie ojciec. W tym samym czasie co i ja, wraca z nim woli mój najstarszy brat z żoną i dzieckiem. Okazało się, że wojna zniszczyła cały dorobek rodziców. Została jedynie ziemia. Byli bliscy, do których tak tęskniłam. Ale faktycznie, tak naprawdę było domu brak - od zabrakło matki.

Przez cały okres wojny odczuwałam niedostatek wiedzy. Bardzo chciałam się uczyć. Dlatego też natychmiast po powrocie zaczęłam przygotowywać się do egzaminów i złożyłam je pomyślnie. W ciągu roku szkolnego 1946/1947 przerobiłam trzecią i czwartą klasę gimnazjum w Łapach. Następnie wstąpiłam do Państwowego Liceum Pedagogicznego TPD w Białymstoku, które ukończyłam w 1948r. W czasie wakacji - jako wyróżniająca się absolwentka tej szkoły zostałam oddelegowana przez dyrekcję na siedmiotygodniowy kurs komendantów szkolnych hufców "Służba Polsce". Kurs był zorganizowany w Lublińcu. W tym czasie nie było dla mnie mowy, żeby rozpocząć studia. O jakich siłach, kto miał mi pomóc? Następnie - na polecenie Ministerstwa Oświaty zapisałam się na sześciomiesięczny kurs dla kandydatów na nauczycieli języka rosyjskiego. Był on zorganizowany w Sopocie, a następnie w Wejherowie. Po ukończeniu tego kursu zostałam skierowana do pracy w Liceum Pedagogicznym w Białymstoku.

Tu powierzono mi żeński hufiec szkolny "Służba Polsce". Jednocześnie miałam przydzielone obowiązki nauczycielskie języka ro-

wijskiego. Uczyła języka rosyjskiego w Liceum Pedagogicznym dla dorosłych. Społecznie prowadziłam zajęcia w świetlicy w szkole i w internacie.

W czasie wakacji kierowano mnie na obóz wyśzkoleniowy "Służba Polsce" prowadzony pod patronatem Ministerstwa Oświaty w Białymostku Krajeńskim. Tu przez dwa turnusy pełniłam funkcję dowódcy plutonu.

W Liceum Pedagogicznym pracowałam do następnego listopada 1950-go roku. Od tego dnia w drodze awansu zostałam przeniesiona do administracji szkolnej i pracowałam jako wicedyrektor okręgowy szkół państwowych województwa wybrzeża oświaty w Białymostku, a następnie pełniłam obowiązki kierownika samodzielnego referatu "Służba Polsce". Z tego później powstało "Przygotowanie Obronne". Tę funkcję pełniłam przez osiem lat. Jednocześnie pracowałam społecznie w Lidze Wychowawców Kobietańskich a następnie w Lidze Obrony Kraju.

Pracę zawodową i obowiązki społeczne traktowałam bardzo poważnie. Wykonywałam je w pełnym zaangażowaniu i oddaniu. To także rokrocznie otrzymywałam wyróżnienia i nagrody. Wśród innych w 1955-tym roku Ministerstwo Oświaty wyraziło mi podziękowanie i uhonorowało mnie za sumienną pracę w zakresie przygotowania szkolnych ekip pomocy społecznej rolnictwu. Jednocześnie przyznało nagrodę pieniężną o wysokości 1200 złotych.

W 1956-tym roku wyszłam za mąż, a w 1958-ym roku doczekałam pierwszego dziecka - Teresy. W związku z tym - jak również w wyniku reorganizacji administracji szkolnej - z dniem pierwszego września 1958-go roku zostałam przeniesiona na własne życzenie do Pierwszego Liceum Ogólnokształcącego w Białymostku. Tu pracowałam jako nauczyciel i jednocześnie pełniłam obowiązki kierownika ośrodka metodycznego w zakresie przygotowania

wojskowego.

w tym samym roku przy Wyższej Szkole Pedagogicznej w Krakowie słożyłem egzamin i tym samym zdobyłem wyższe wykształcenie. W 1961-ym roku na świat przyszedło moje drugie dziecko - Barbara.

Od 1979-tych roku jestem na emeryturze.

Wstąpił: J. S. S. S. S.

JS